



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA.

Nie potrzebuje mi tego nikt wytykać; ja sam wiem o tem dobrze, że największą ilość moich felietonów zaczynać i, niestety, kończyć musiałem dotąd jednakowo; zakrawa to na szablon, ale nie z mojej winy.

Na początku, chcąc nie chcąc, muszę zwykle wspomnieć o pogodzie, a na końcu stawiam zwykle krzyżyk i o umarłych piszę nekrologi.

Albo to moja wina?... miałem tym razem wstęp całkiem odmienny, ale ten na nic mi się nie przydał, i znowu samo niebo, sama „siła wyższa“ każe mi wrócić do szablonu; jakże bowiem zamilczęć o burzach, które w zeszłym tygodniu warczały nam nad głowami, zalały wody za kołnierz nawet takim, co pod dachem siedzieli, a piorunami śmigaly, jak psotny dzieciak piłką!

Jakże nie zanotować tej nocy z Czwartku na Piątek, w której powtórzył się potop w miniaturze, i przez godzin prawie dwanaście, przez wszystkie upusty i przez wszystkie krany niebieskie lała się woda ciurkiem.

Gród Syreni wyglądał jak miasto na lagunach, bruki, trotoary zniknęły na całą noc pod wodą, przelewało się wszędzie poza brzegi, a wśród ciszy nocnej słycać było tylko plusk deszczowych strumieni i wzdychania kanalizacyjnych przedsiębiorców.

Od czasu do czasu błyskawice oświeślały horyzont, jakgdyby ktoś szyber w niebie to otwierał, to zamykał i zaglądał na ziemię, czy dostatecznie wodą, jak gąbka, nasiąknęła.

Warszawa niedarmo nazywa się syrenim grodem; podczas każdej większej ulewy pławi się, jak syrena, w nurtach deszczówki, ale po takiej

kąpieli osycha szybko i jakoś nie znać na niej skutków tuszowania.

W okolicy natomiast każda groźniejsza burza zapisuje się w budżetach gospodarskich czarnymi kreskami, bo przekreśla niejedną nieraz rubrykę dochodu, krwawej pracy i złotych nadziei rolnika.

Najgorszą porę obrało sobie niebo do swoich popisów meteorologicznych; wszystkie takie meiningeńskie efekta na scenie przyrody kosztują drogo. Ostatnia nawałnica narobiła też szkód sporo; woda zalała pola, zamoczyła lub rozniosła stogi siana, przerwała żniwa, podmyła planty kolejowe i poprzerywała je w kilku miejscach, powstrzymując na pewien czas komunikację; pioruny zapalały ludzkie sadyby, niszcząc dobytek i przerażając ludzi śmiertelnie.

Stanowczo coś się zepsuło w górnej administracji, w wyższe sfery zakradł się jakiś nieporządek, którego ani zbadać, ani naprawić, niestety, nie można.

Przypominam sobie śmiało swego czasu projektu przyrodników w celu poprawiania temperatury i klimatu Europy; chodziło o przysuwanie i odsuwanie olbrzymich lodowców od Bieguna Północnego. Możeby w czasach kłopotliwych dla kapitalistów, którzy nie wiedzą, co robić ze swoimi milionami, wznović owe plany i założyć wielkie europejskie agencyjne towarzystwo regulowaniem klimatu na stałym lądzie...

Maluczko, a gotów naprawdę znaleźć się jakiś Anglik lub Amerykanin, który przyjedzie do nas z taką propozycją, wystawiając na próbę naszą naiwność i łatwo wierność.

Mieliśmy tu niedawno taką wizytę; przyjeżdżał pewien pomysłowy Albionczyk z zamiarem założenia w Warszawie fabryki wyrobów papierowych, a mianowicie pudełek, bombonierek i t. p., ale do gotowych planów i geniuszu przedsiębiorczego potrzebował małej sumki okrągłego milio-

na i miał nadzieję znaleźć ją w kieszeniach nadwiślańskich Nababów.

Nie znalazł.

Nie zdziwiło mnie to wcale, bo, jakkolwiek wszystkie nasze interesa mają bardzo bibulasty charakter, to przecież na specjalnie papierowe przedsiębiorstwa nie mamy nadzwyczajnych milionów na wyrzucenie, tembardziej, że zwyczajnych tysięcy nikt rvzykować nie chce na „solidniejsze“ owiele entrepryzy.

Jakoś się w świecie uspokoiło; o wojnie znowu przycichło, może się ośmieli inicjatywa i duch przedsiębiorczy wystawi u nas swe ślimacze różki.

Telegramy polityczne tymczasem podobne są do pustych orzechów, któremi nawet wiewiórki bawić się nie chcą; ks. Bismarck staje się coraz lojalniejszym kanclerzem i coraz częściej ostentacyjnie całuje rękę swego młodego monarchy z pokorą podziwienia godną; w gabinetach dyplomatycznych szeptu nawet ucichły, a natomiast słycać chrapanie ministrów. Gdyby nie słonie i wielbłądy zbuntowane, moglibyśmy zasnąć przy czytaniu depesz zagranicznych w naszych dużych i małych organach polityki.

Słonie są dziś największymi rewolucjonistami w Europie; musieliście zapewne czytać o katastrofie monachijskiej, którą wywołały te nosate bestye podczas wspaniałego pochodu na ulicach bawarskich Aten z okazji uroczystego święta setnej rocznicy urodzin króla Ludwika I-go, wiekopomnego protektora sztuki i literatury w stolicy nieszczęśliwych Wittelsbachów.

W pochodzie kostyumowym grupa handlu i przemysłu miała być efektem największym; na sześciu słoniach, wypożyczonych z menażeryi, spętanych żelaznymi łańcuchami Wschód paradowała.

Trzeba wypadku, ażeby lokomotywa, przybrana w kształty smoka, najechała na ową grupę i gwizdnęła tak przeraźliwie, że się słonie spło-

szły, zerwały pęta i wpadły między tłum rozszalałe, tratując i młóćąc swemi trąbami publiczność.

Kilka godzin uganiała się za niemi kawalerya, zanim poskromić zdołała czworonożnych rokoszan. Kilku ludzi podobno postradało życie, paręset odniosło rany i skaleczenia w popłochu.

To Monachium ma szczęście do sensacyjnych katastrof: przed kilku laty na balu kostymowym artystów „żywe pochodnie“ płonących eskimosów zaświeciły okropnym blaskiem stolicy, potem przyszła tragedia króla - szaleńca, teraz znów słonie wyprawily hecę krwawą Bawarczykom.

Jak się wiedzie, to się wiedzie.

U nas rozgłośniejszych wypadków brak wielki; najwięcej wrażenia przed ulewą zrobiła tylko sprawa emigracyi do Ameryki, która jednocześnie tu i w Krakowie zaalarmowała opinią publiczną. Wykryto agenturę niby-to Rzeczypospolitej Argentyńskiej, która wabiła wychodźców, obiecywała im złote góry i wysyłała do Hamburga łatwowieerne ofiary swego wyzysku.

W Galicyi znów od dziesiątka lat zajmowano się prosto dostawą osadników, zaprzędawanych później w niewolę plantatorom brazylijskim. Mnóstwo biedaków zmarniało na tej drodze; po największej części prosty lud, skuszony fałszywemi obietnicami, dał się wywozić za Ocean, aby tam szukać chleba i lepszej doli.

Prześlicznie i wzruszająco do głębi serca opowiedział Sienkiewicz losy takich wychodźców „za chlebem“ w jednej ze swoich nowel amerykańskich.

Obecnie olbrzymi proces, wytoczony w Krakowie niejakiemu Herzowi, który się trudnił werbowaniem emigrantów, wykryje zapewne mnóstwo podobnych tematów, nie z teki nowelisty, ale wprost z życia i aktów sądowych zaczerpniętych.

Kurjer Warszawski zamieścił obszerną a wielce zajmującą korespondencją z Krakowa w tej właśnie sprawie. Jest w niej jeden epizod, niezmiernie charakterystyczny, który warto powtórzyć dla okazania, w jaki bezczelny sposób oszukiwano ciemne i łatwowieerne ofiary emigracyjnej propagandy.

Oto rzecz dzieje się w agencji p. Herza; protoduszny wieśniak przychodzi porozumieć się co do warunków przesiedlenia na grunt amerykański; sprzedał ojcowiznę, pościagał wszystkie grosze swoje i swej rodziny i postanawia poprawić sobie los za morzem.

Sprytny oszust, reprezentujący agencją, zadaje mu takie pytanie:

— Kumie, czy właściwie dobrych gruntów potrzebowalibyście w Ameryce?

— A ino.

— A jakich?

— Kilkanaście morgów pszennego, parę może lasu...

— No, i stawek może?...

— A jużci.

— Nie wiem, czy takie grunta są; zapytamy przez telegraf.

Prowadzono chłopca do izby w biurze, gdzie stał budzik zegarowy, naśladujący aparat telegraficzny, nakręcano go na pół godziny i mówiono klientowi:

— Jak będzie stukalo z Ameryki, dajcie mi znać, bo ja nie mam czasu.

Potem pan agent wychodził do drugiego pokoju i czekał cierpliwie. Za pół godziny budzik zaczynał dzwonić.

— Panie agent — woła chłop radośnie — coś tam z Ameryki krzyczą.

Pan agent przychodzi, słucha, słucha, potem pisze, nareszcie zaczyna głośno czytać:

„Są dwa odpowiednie gospodarstwa w Ohio; jedno na pięćdziesiąt morgów ze stawkiem, drugie na 80 z dwiema sadzawkami. Morga jednego i drugiego po 10 dolarów. Dziś właśnie zgłaszają się kupujący. Jeśli wasz klient koniecznie żąda, to mogę dla was tę dogodność zrobić i zatrzymam dla niego jedno gospodarstwo, jeno musi na wasze ręce zostawić zadatek w wysokości połowy, lub trzeciej części ceny kupna i spieszyc z przyjazdem.“

Przychodziło do targu; naiwny chłop dobywał pieniądze, płacił, dostawał jakiś zadrukowany świstek na pokwitowanie i odchodził szczęśliwy do baraku, aby tam wyczekać chwili wyjazdu do owej ziemi obiecanej. Przed odejściem przestrzegano go, aby swoje kupno pomyślne trzymał w tajemnicy przed innymi, bo inni gotowi mu zazdrościć i mieć żal do pana agenta, że jednych proteguje przed innymi.

Potem spajano wódką emigrantów i okradano ich prosto, gdy posnęli na słomie w baraku.

Wierzyć się nie chce, aby tego rodzaju bezczelne oszukaństwa działy się tuż pod bokiem władzy, w oczach ludzi uczciwych.

W Oświęcimiu istniała własnie agentura sławetnego p. Herza, który tam miał wspaniałą swoją willę, urządzoną z nieopisanym przepychem wschodnim, i ztamtąd wysyłał zwerbowanych emigrantów na pastwę losów za Ocean. Przy rewizji znaleziono u niego dwie skrzynie papierów, planów, map, broszur zachęcających do osiedlania się w Ameryce, listów bez liku, a nakoniec przeszło milion guldenów w gotówce i papierach wartościowych.

U nas, w Warszawie, na mniejszą skalę podobny proceder zaczął prowadzić konsul Rzeczypospolitej Argentyńskiej p. Ernst, któremu udało się zbałamucić około stu osób i wysłać ich do Hamburga, gdzie oszukani dopiero przejrżeli i dowiedzieli się o nieczym podstępnie pana konsula.

Obiecywano im po 100 hektarów (około 170 morgów) gruntu za 5 rs. z rozplata na raty przez lat dziesięć, utrzymanie przez pierwszy dni 5 na koszt rządu, odpowiednie zajęcie na miejscu, a przejazd bezpłatny.

Wszystko to okazało się bańką mydlaną, za którą z dziecięcą naiwnością mnóstwo ludzi pobiegło.

Ileż-to żywego mięsa zpod samych żeber wyrwała nam ta emigracya z organizmu społecznego!... jakie luki i szczyby porobiła w Poznańskim, w Galicyi, ile zmarnowała rodzin, ile ziemi osierociła i na łup wyzyskiwaczom podłym wydała!

Ciemny lud, biedny lud, słucha podszeptów i wierzy, że sobie dolę swą polepszyć może gdzieś na dalekiej obczyźnie; idzie za chlebem i z głodu ginie, idzie za groszem i w nędzę popada. Trzebaż mieć nad nim zlitowanie, oświecać go, przestrzegać przed niebezpieczeństwem, otwierać mu oczy, zamydlane przez takich Herzów i Ernstów, łowiących ryby w mętnej wodzie.

Obowiązek to intelligencji wiejskiej, obowiązek duchowieństwa, które żywem słowem nauki, porady, przestrogi może biedny lud przed własnowolną krzywdą ochronić, gdy przedstawi mu niebezpieczeństwa, na jakie się naraża, zawierając namowom i podszeptom zamorskich spekulantów.

Pocziwy Anczyc dużo dobrego zrobił, jako autor „Emigracyi chłopskiej“, dotknąwszy tak żywotnej i palącej kwestyi swoim piórem, w serdecznej krwi maczanem.

Jakżeby dobrze było, aby go i inni autorowie, piszący, nie o ludzie, ale dla ludu, naśladować zechcieli!... ale do tego potrzeba talentu i tej prawdziwej obywatelskiej miłości, jaką ożywia każdą swą pracę niezrównany twórca „Chłopów arystokratów“ i „Błazka opętanego.“

„Emigracya“ przypomniła mi świetne czasy ogródków warszawskich, do których chyba nie wrócimy tak rychło, a może i nigdy więcej; dzisiejszy repertuar tych scenek upada z każdym rokiem; nawet renomowani autorowie tracą szczęście swoje i tworzą efemerydy świecące tryumf w ciągu kilku zaledwie wieczorów.

„Pan Zołzikiewicz“, najlepszy z utworów ostatniej daty, jakie się przesunęły przez deski ogródkowe, nie zdołał także dłużej zająć publiczności i nie okazał tej przyciągającej siły, której się po nim spodziewano; złożono go, niestety, już w bibliotece Wodewilu, aby zrobić miejsce nowej sztuce, która zejdzie zapewne ze sceny po kilku przedstawieniach, jak jej poprzedniczki i jej następczyni.

Po powodzeniu, jakim się cieszą przeróbki

i tłumaczenia niemieckich fars, wybieranych przez p. Ludwika Sliwińskiego dla teatru Małego, powinienem przypuszczać, że ten charakterystyczny amant rzeczony sceny umie się przypodobać publiczności, nie tylko, jako aktor, ale, że trafia jej także do gustu w roli liveranta nowości repertuarowych.

Ktoś złośliwy powiedział, że p. Sliwiński „dopisuje coś do literatury bieżącej“, nie tworzy bowiem sam nic oryginalnego, tylko w połowie posługuje się piórami Mosera i Schoenthana, ale przyznać mu trzeba, że te jego „dopiski“ są zręczne i dobrze zastosowane. Kilka sztuk, jak „Porwanie Sabinek“, „Wojna podczas pokoju“, „Porucznik Szykowski“, „Nad przepaścią“, a ostatnio „Złota rybka“, przeszły ogniwą próbę i wyróżniły się najkorzystniej z repertuaru małej sceny, zatłuszczonej i zabrudzonej najczęściej francuzkami farsami.

Pan Sliwiński proteguje szczególnie niemiecką literaturę dramatyczną, lokalizując celniejsze jej utwory; jako aktor „ma nos“ i umie przeważać to, co na naszej scenie podobać się może.

Ostatnią nowością przez p. Sliwińskiego wprowadzoną na scenę jest czteroaktowa komedia Schönthana p. t. „Złota rybka“, z berlińskiego bruku przeniesiona na grunt galicyjski.

W oryginale junkry pruskie brzęczą za głośno szabłami i ostrogami w tej komedii; w polskiej przeróbce pruskiego *premier-lieutenant'a* zastąpił austriacki ułan, mundury usunięto i urobiła się z tego wcale sympatyczna i wesoła krotchwilą, z humorem, niezdradzającym niemieckiego pochodzenia.

Na takich sztukach zyskuje teatr mały, który między reżyserem operetki a reżyserem komedii przypomina mi zawsze jakby Zuzannę między dwoma starcami; nie śmiej żądać, aby mała scena była skromniutką Zuzią, ale mam wszelkie prawo wymagać, aby dwaj starszycowie okazywali mniej „kawalerskie gusta“ w dobieraniu repertuaru, który nawet niekorzystnie oddziaływa na atmosferę tej salki teatralnej.

Na scenie Teatru Letniego mamy debiuty i wznowienia; tak zwykle bywa o tej porze, w której śmietanka personelu na urlopie.

Z młodych aspirantów, nie do sceny, ale do etatu warszawskiej Melpomeny, widzieliśmy dotąd p. Siemaszkę, komika z Krakowa, i p. Chmielińskiego, artystę scen prowincjonalnych. Pierwszy był uczniem s. p. szkoły dramatycznej p. Derynga. Za czasów swego istnienia miała ona gorzki żywot, dzięki krytyce, ale po śmierci wspomina się nieboszczkę z westchnieniem i przyznaje się jej pewne zasługi i użyteczność.

Oprócz p. Siemaszki wyszło z niej bowiem kilka wcale obiecujących talentów, a między niemi chluba dzisiejsza sceny lwowskiej, p. Frenkiel.

P. Chmieliński ma zdolności do ról charakterystycznych i dramatycznych; i na nim znać ślady nauki i dobrych początków, których nabył jako uczeń p. Kotarbińskiego; materiał to podatny i obiecujący na przyszłość, ale cóż ztąd: drugi raz już puka do wrót naszej sceny i zapewne poraz drugi mu nie otworzą; powróci tedy znowu na prowincyę i będzie się marnował w teatralnej włóczędze od miasteczka do miasteczka, grywając we wszystkim, nawet w operetkach, marząc o Hamlecie lub Królu Learze.

P. Siemaszko jest komikiem z werwą i temperamentem, ma dużo rutyny, ma humor z pewną skłonnością do szarży, wybornie naśladuje innych na scenie, czego mu chwalić nie myślę, ale przyznać muszę, że mógłby być wszędzie pożytecznym aktorem, który darmo chleba nie je i korzystnie pracować umie.

W operze przypomniął się stary śpiewak. basista Miller, niegdyś zagranicą „polskim dzwonem“ nazywany dla piękności głosu; dużo go jeszcze pozostało, ale wiek ma swoje prawa, starość nie radość, a kto szósty krzyżek dźwiga, nie łatwo mu przy nim dźwigać repertuar dużych partyi operowych.

Z młodszych talentów zainteresowała niezwykle krytykę i melomanów p. Rejewska, śpiewaczka koloraturowa, po której spodziewają się drugiej Varesi lub Donadio — w przyszłości. To

dużo, ale nie dla naszej publiczności, która, jak znużona kapryśnica, wierną jest tylko cudzoziemskim słowom i obcym talentom. Swoich słucha jednym uchem, albo nie słucha wcale, ale dla importowanych głosów otwiera oba uszy i kieszonki, choćby nawet nie było warto.

Wspomniałem przed miesiącem o nowej orkiestrze miejscowej p.p. Konopaska i Łusakowskiego, która chciała rywalizować ze wspomnieniami Bilsego, Fliegego i Lauba.

Skończyło się na dobrych chęciach; orkiestra wyzionęła ducha z braku poparcia, a jej miejsce w Dolinie Szwajcarskiej zajęły dzieci grające na dętych instrumentach. Węgierska kapela malców z kraju Arpada ściga tęsamą publiczność, która nie chciała chodzić na koncerty swojskich muzyków.

Alboż-my to jacy tacy!...

Smutnym akkordem przychodzi mi zawsze kończyć moje preludya felietonowe. Znowu śmierć w dzwon pogrzebowy uderzyła nad grobem dwóch ludzi zasłużonych, którzy życia nie zmarnowali i stan służby publicznej zamknęli, jako weterani w swoich szeregach.

W dniu 24 z. m. zmarł w Warszawie znany przewodnik młodzieży, pożyteczny obywatel, prof. Józef Belza, staruszek osmdziesięciokilkolletni.

Niegdyś wykładał on chemią i technologią w instytucie marymonckim, i miał katedrę w szkole farmaceutycznej.

W Otwocku, na letnim mieszkaniu, po długiej i uciążliwej chorobie, zmarł 30 z. m. s. p. Józef Sporny, jeden z najpopularniejszych ludzi w Warszawie, znany zaszczytnie inżynier, którego pięćdziesięcioletni jubileusz w zawodzie technicznym obchodzono w roku zeszłym.

Napracował się on w życiu dużo nad sobą i dla ludzi; czynny, ruchliwy, przedsiębiorczy i towarzyski, miał wielu przyjaciół i wiele sympatyj ogólnej. Specjalnie zajmował się hydrauliką, studiował ją zagranicą, w Warszawie założył pierwszą fabrykę wyrobów hydraulicznych na większą skalę, następnie fabrykę asfaltu do spółki z hr. Ludwikiem Krasińskim, wygotowywał pierwsze plany kanalizacyi, tłómaczył pożyteczne dzieła i pisał oryginalne z zakresu technologii; słowem: robił dużo i dobrze.

Do grobu położył się, jako siedmdziesięcioletni starzec, ale do ostatnich chwil ta niespożyta natura i temperament zachowały jakąś młodzieńczą rzeźkość; duchowo młodszym był od wielu z pokolenia wnuków.

Pokój i zasłużona pamięć obu zmarłym!...

Quis.

PIEŚŃ PODRÓŻNEGO

(przekład z niemieckiego).

Jaki-bądź wiedzie mnie szlak drogi,
Ciche mam serce w łonie;
Wiem, że doniosą mnie tam nogi,
Gdzie głowę do snu skłonię.

Zawsze wzniesiony ponadem mną
Mieć będę dach błękitu;
Będę mieć gwiazdy nocą ciemną,
A rankiem promień świtu.

M. I.

ŻYCIE I PRACA

przez

Samuela Smiles'a.

(Dalszy ciąg).

Delikatność stroju ludzi pracujących umysłowo pochodzi z braku ruchu i ćwiczeń ciała. Ma-

larz, przedstawiający nam Jutrzenkę, która różowemi palcami otwiera Febowi bramę niebios, rzadkokiemu widuje wschód słońca i uczone, podobnie jak sztukmistrz, jak pisarz i poeta, rzadko kiedy objęte z naturą, jak tego przecież potrzebuje człowiek zdrowy. Tycho Brache przez dwadzieścia jeden lat ledwo razy parę, i na czas krótki, opuścił obserwatorium i umarł też przedwcześnie z choroby, wywołanej przez sedentarne to życie. Mnóstwo ludzi, których nazwać można wielkimi pracownikami wśród ludzkości, pomarło przed porą naznaczonego sobie kresu, z tejsamej choroby, która według obliczenia lekarzy zabrała sto czterdzieści znakomitych osobistości, a między niemi znajdują się: Bacon, Michał Anioł, Buffon, d'Alambert, Calvin, Montaigne, Leibniz, Newton, Rousseau, Volney, Voltaire, Franklin, Napoleon III.

Kiedy La Harpe'a, który mieszkał na jednej z najciaśniejszych uliczek starożytnego Paryża, zapytano: w jaki sposób używa świeżego powietrza i odpoczynku? — odpowiedział, że otwiera lufciki i wygląda na miasto.

Ale praca umysłowa wyrabia nawyknięcia, które trudno jest zwalczyć. Kiedy Petrarka skarżył się na zły stan zdrowia przed przyjacielem, ten zażądał, aby złożył u niego w depozycie klucz od biblioteki i zarazem pracowni swojej, który przecież został po trzech dniach napowrót odebrany. — Oddaj mi go! — wołał poeta namiętnie — bo inaczej umrę... skonom na miejscu...

Pierwszą karą za to nadużycie jest u ludzi pracujących umysłem utrata snu. Potrzebują oni spać więcej, niż inni, a dzieje się przeciwnie. Jeżeli pracują późno w noc, podniecenie umysłu trwa jeszcze po odłożeniu na bok pióra czy książki i mózg, działający wciąż, nie pozwala oczom się zamknąć. Smiles używa tu porównania z młynem, którego koła, zastawic się niedając, obracają się wciąż, choć niema już podsypanego ziarna do mielenia. Niema siły, któraby zdołała tę czynność zahamować. Umysł pracuje, myśli i marzy, jakkolwiek nieporządnie i bezładnie, a przecież mózg odzyskuje utraconą siłę i dzielność prawdziwą tylko za pośrednictwem doskonałego wypoczynku, jaki sen może mu dać jedynie. Gdy tego brak, gdy to był sen za krótki i za lekki — pół snu, a pół czuwania — tak mózg, jak cały organizm cierpi na znużenie — nieposilony, nieodświeżony należycie.

Mocny, zdrowy sen bez marzeń jest tylko błogosławieństwem młodości, które wtedy umiemy cenić, gdy je utracić zaczynamy — woła Smiles i przytacza zdania innych w tym przedmiocie. — Sen otula ciepło, jak kołdra wełniana... woła Sancho-Pansa, a poeta angielski, Filip Sydney nazywa węzłem pokoju (knot of peace) balsamem na rany, bogactwem ubogiego, wolnością więźnia. Lecz ludzie pracujący umysłowo tracą prędko sen taki. W miarę posuwania się w lata praca, troski, trudności i niepokoje życia oddziałują na umysł i sen nasz psuje się. Myśli nie dadzą się zagłuszyć, człowiek zmęczony przewraca się z boku na bok, głowa jego nie znajduje dostatecznie wygodnego miejsca na żadnej poduszce i wtedy między nami a światem rozpościera się jakby welon czarny smutnych myśli, smutnych spostrzeżeń nad światem.

A przecież mało jest ludzi pracujących umysłem, zwłaszcza literatów, których wyobraźnia jest żywsza i pracująca też ustawicznie, którzyby nie cierpieli mniej lub więcej na bezsenność. Podobnie ludzie zajęci wielkimi interesami, których obroty utrzymują ich w niespokojnym natężeniu umysłu, źle śpiją i często tracą zupełnie sen.

Pope, przy studyach nad „Iliadą“ utracił zupełnie sen. Chciał odpocząć po pracy, choć w nocy, a właśnie noc nie przynosiła, ani spoczynku, ani spokoju, i wołał też, że dałby się powiesić, byle tylko mógł sobie wybić z głowy Homera.

Goldoni, napisawszy szesnaste komedii w przeciągu jednego roku, zwaryował z bezsenności. Byron podobnie utracił całkiem sen, tworząc tragedya „Marino Falieri“. Były noce, w których cierpiał katusze, i uspakajał je tylko pijąc niezmiernie wiele wody sodowej z arakiem. Są lu-

dzie, którzy nagradzają sobie długie czuwanie po nocach, sypiając w południe lub po obiedzie.

Nie każdy organizm potrzebuje jednakowej ilości godzin czasu, aby sen był pokrzepieniem rzeczywistym. Walter Scott musiał spać osm godzin: inaczej czuł się osłabionym i nie miał tego polotu myśli, jakiego potrzebuje pisarz, którego twórczość polega na sile wyobraźni. Uczony angielski Dr Fowler, który do śmierci zachował zadziwiająca żywość i siłę umysłu, a żył lat 98, uczęszczając do śmierci na posiedzenia British Association, odpowiadającej w znaczeniu swoim i powadze akademii umiejętności, mawiał, że zasadniczą rzeczą w utrzymaniu sił umysłu jest wysypianie się takie, jakiego kto potrzebuje. — Wstawać trzeba wtedy dopiero, gdy się ma dość leżenia... to było jego zdaniem, które w praktyce życia przeprowadzał.

Gdy sen jest mocny i spokojny, może być krótszym, i na odwrót. Kto miał noc zakłopotaną przykremi marzeniami, niech wie, że nie odpoczywa. Niekiedy też umysł działa tak zupełnie we śnie, jak na jawie, i wtedy bynajmniej nie odpoczywa. Newton rozwiązał raz przez sen bardzo trudne zagadnienie matematyczne, nad którym pracował przed północą spać. Condorcet doświadczył podobnego fenomenu działalności mózgu przez sen. Condillac, pisząc jedno dzieło swoje, spostrzegł, że sny jego są dalszym ciągiem myśli wieczornych przy pisaniu. Coleridge stworzył jeden ze swoich poetycznych utworów, fragment „Kubla Khan“, we śnie. Tartini, skrzypek włoski, podobnie skomponował „Sonata Diabolica“, śniło mu się, że dyabeł zakłada się z nim: kto z nich lepszy artysta, i wstawczy pamiętał doskonale co dyabeł grał.

Są fizjologowie, którzy utrzymują, że sny przychodzą do nas tylko w chwili, gdy sen już ma pierzchnąć i gdy umysł odzyskuje już przytomność. Lavalette, uwięziony w Bastylii i skazany na śmierć, nie mógł zasnąć prędko w nocy, która miała być ostatnią. Słyszał godzinę dwunastą, bijącą na zegarze Pałacu Sprawiedliwości, słyszał jak otworzono bramę i zmieniano wartę, potem zaraz zasnął i miał sen szczegółny. Znajdował się na Ulicy S-go Honorjusza. Stał i usłyszał naraz jakiś głuchy szum, przybliżający się z oddali, ujrzał konnicę pędzącą z pochodniami w rękę, a okna poczęły się otwierać, blade kobiety z roztrąganymi włosami stały w nich i łamiąc ręce, szlochały płaczem okrutnym, a wojsko to leciało klusem rozpędzonym przez długich, okrutnych pięć godzin. Potem zaczął się pochód inny: nieobliczalna liczba wozów ze skrwawionymi ciałami ciągnęła, jeden wóz za drugim... Aż obudziło go coś nagle. Było to hałaśliwe zatrzaśnięcie bramy więziennej, a on nacisnął sprężynę zegarka repetyera, który wybił godzinę dwunastą i pokazało się, że sen jego, taki — tak męcząco długi, trwał nie więcej nad dwie lub trzy minuty: tyle czasu, ile go potrzeba na zmienienie warty.

Nazajutrz jeszcze zapytał dozorca: czy bramy nie otwierano dwukrotnie wśród nocy? — Odpowiedź usłyszana potwierdziła pierwsze domniemanie. Jego wielkie widzenie trwała mało co więcej nad minut parę.

Smiles dodaje, że jednemu z jego znajomych kazał lekarz postawić synapizma pod podeszwami. Słaby, zmęczony człowiek, podczas tego śnił, że się dostał w niewolę do Arabów, którzy wiedli go ze sobą w głąb kraju, odartego i boso, a rozpalone piaski pustyni parzyły mu nogi okrutnie. I była to długa, długa podróż... Zdawało mu się, że trwać musiała miesiące całe; gdy obudził się naraz i spostrzegł, że odejmowano mu synapizma, które miał na nogach przez pięć minut.

Nawyknienie ma wielki wpływ na sen. Żołnierze, marynarze mogą zasypiać kiedy chcą i budzą się podobnie. Napoleon I-szy należał do takich szczęśliwych ludzi: sen przychodził mu na zawołanie. Angielski generał Elliot, sławny w ojczyźnie swojej przez bohaterską obronę Gibraltaru, nie sypiał na dobę więcej nad godzin cztery, i wystarczało to zupełnie jego organizmowi, a dodać trzeba, że nie jadał nigdy mięsa

i żywił się jedynie chlebem, mlekiem i jarzynami, a pijał tylko wodę.

Znany statysta angielski, lord Brougham, mógł zasypiać kiedy miał czas: jakąś godzinę, pół godziny, niekiedy kwadrans tylko, i był zdolnym znów do pracy, tak się obywając bez odpoczynku, jak chyba nikt inny. Jest podanie, że raz, mając wielką i pilną robotę przed zamknięciem parlamentu, nie spał pięć nocy i pięć dni i pisał, czytał, przemawiał w Izbie, nie kładąc się wcale do łóżka; lecz potem, skoro tylko sesja została zamknięta, wyjechał natychmiast na wieś i spał bez przebudzenia się całą noc z Soboty na Niedzielę, dalej całą Niedzielę: dzień i noc, aż obudził się w Poniedziałek rano, zdrów i wesoły, zdolny znów do pracy. Takich sztuk bohaterkich „superhuman,” jak się wyraża Smiles, mało kto dokonać może. Nasze pokolenie zbiedniałe fizycznie nawet o nie nie kusić się powinno.

Lord Brougham, podobnie jak Fenelon, znajdował odpoczynek w samej zmianie pracy?—„Le changement des études est toujours un délassement pour moi,”—pisze Fenelon w korespondencji swojej, a jest to rzecz często doświadczana, zwłaszcza przez ludzi zajętych obowiązkową pracą z oznaczonym terminem. Gdy ją ukończą, doznają wrażenia jakgdyby zrzuconego z bark ciężaru, uczucie swobody ożywia ich i czyni zdolnymi do innej pracy, do której przystępują z uczuciem przyjemności, wesoło. Przytem umysł nudzi się jednostajnością, różnaitość działa na niego dodatnio, i ztąd-to specjaliści, zajęci wciąż umysłowo w jednym kierunku, stają się bardzo często oschłymi.

Ospalność bywa niejednokrotnie nazywana lenistwem. Jest to przecież lenistwo natury. Organizacje limfatyczne pogrążają się w apatję, od której trzeba się bronić przez rozsądnie pomysłane i dobrze stosowane środki, ale bywają wyjątkowe usposobienia, dla których wywczas dłuższego snu jest koniecznością; nie jest to zawsze osłabienie, ale delikatność ustroju; bywa tak nieraz przy bardzo dobrej zdrowiu, jeżeli go ktoś nie podkopie przez łamanie się właśnie z tem, co złamać się nie daje bezkarnie. Montaigne należał do liczby ludzi potrzebujących sypiać długo i skarżył się na to, mówiąc, że przespał wielką część życia, o pięćdziesięciu latach zaczął sypiać od ośmiu do dziewięciu godzin na dobę. Dla dzieci rosnących, dla ludzi starszych i osłabionych, zwłaszcza kobiet, dla pracujących umysłowo, jest to nie zawiele i Montaigne mimo tego, że sypiał długo, tak umiał zużytkować chwile czuwania, że zostawił ludziom ślad myśli swojej. Scypion należał do takich natur: sypiał długo; Montaigne, któremu to ciążyło osobiście na sercu, napisał, że było to jedyną wadą, którą ludzie mogli mu zarzucić. Montaigne przytacza z historii Alexandra Wielkiego fakt, że spał tak głęboko porankiem dnia, w którym miał stoczyć bitwę z Dyaryuszem, iż Parmenion musiał wejść do jego namiotu i kilkakrotnie zawołać na niego.

Nastrój umysłu i stan uczuć przyczynia się wielce do takiego szczęśliwego snu. Spokój to być musi wpływający z pewnością siebie, z wiary w siebie i w położenie rzeczy. Napoleon I-y i Wellington sypiali podobnie. Wellington sypiał do końca życia na żelaznym wazkiew łóżku obozowem, co wprawilo w podziwienie pewną panią, jego znajomą: jak może używać łóżka, na którym nie można się dobrze przewrócić; lecz on odpowiedział na to, że należy już wstać wtedy, gdy się trzeba przewracać.

Zdolność odpędzania od siebie natrętnych myśli gra ważną rolę, szczególnie u ludzi nerwowych, w śnie dobrym, z którego można się wybić tak, że nie przyjdzie już na zawołanie, bo do snu trzeba najpierw uspokojenia nerwów. Palmerston posiadał tę sztukę. Odcinał się umysłem natychmiast, gdy chciał, od przedmiotu, który go zajmował, i zasypiał, gdy tylko tego chciał. Nie raz tak czynił w Izbie, gdy przychodziły rozprawy nad przedmiotem nieprzedstawiającym dlań zajęcia. W Izbie Gmin nazywano go też szyderczo: wielki śpioch „the greath sleeper.” Watt należał też do rzędu wielkich śpiochów; nierazdo sypiał od dziewięciu do jedenastu godzin, ale był on bardzo delikatny, bardzo niemocny i tylko te-

mu, że umiał zachować sobie dobry sen, zawdzięczał, iż nie chorował i żył osmdziesiąt trzy lata, zachowując do końca pomysłową zdolność wynalazków.

Jak sobie sprowadzić sen, gdy nas odbiegać zaczyna? jest pytaniem, na które niejedni szukali i szuka odpowiedzi. Jako nieomylną receptę podają ranne wstanie. Anglicy posiadają rymowany aforyzm, bardzo podobny do naszego: „Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje...” Anglik powiada—„Wcześniej iść spać, a rano wstać, to zdrowym, bogatym, mądrym się stać...” Smiles twierdzi słusznie, że ranne wstanie niezawsze jeszcze stanowi o dobrym śnie; ukołysanie nerwów przez jednostajne jakieś zajęcie sprowadza to prędzej. Ludzie drzemają, gdy są zmęczeni, i trzeba doprowadzić się właśnie do takiego stanu, aby sen przyszedł. Niektórzy radzą sobie na to, licząc do dziesięciu, lub powtarzając jakieś zdanie, albo wiersze umiane na pamięć. Pewien misjonarz, który stracił sen, mówił wciąż pacierz za pacierzem, w nadziei, że przekorny szatan przerwie mu to, zsyłając sen, jak też zwykle bywało po dość niedługim czasie. Patrzył w jeden niewidzialny, odległy punkt, ma sprowadzać tensam skutek przez pewien rodzaj hipnotyzmu. Fran klin wierzył w przechadzkę na świeżym powietrzu i niezawodną też jest rzeczą, że odpowiedni zdrowy ruch ciała na świeżym powietrzu, pewna praca fizyczna w ciągu dnia, sprowadzają pożądany mocny, pokrzepiający sen. Przecież zbyt częste zmęczenie odpędza go. Pewna młoda panna nie mogła nigdy usnąć, jeżeli wieczorem tańczyła dużo. Nie było to bynajmniej skutkiem podniecenia—rozbawienia się. Kładła się spać zmęczona i pragnąca snu, który przecież nie przybywał. Zdawało jej się, leżąc, że jest zupełnie wypoczęta, gdy tymczasem podniosłszy się, uczuwała natychmiast zmęczenie, uczuwała chęć snu—nadaremnie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NA KRASNYM DWORZE

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów pobytu w Kijowie Bolesława Śmiałego

napisał

Fr. RAWITA.

(Dalszy ciąg.)

Znały go dziewczęta i matki i chowały się po świetlicach i izbach, ile razy posłyszały szum jego skrzydał, zwodniczy, jak pienia rusałek, jak echa dalekich szumów leśnych, jak odgłosy strumienia, spływającego z gór pomiędzy kamienie. Ratunku od niego nie było—jak nie porwał jednej, to porwał drugą, ale zawsze którąś pochwylił.

Raz, zmęczony długim lataniem, usiadł na dębie i zasnął.

A król Waligóra polował wtedy właśnie na niedźwiedzia; któryś z otroków dojrzał śpiącego żmija i dał znać królewiczowi. Wziął król Waligóra łańcuchy i z czeladzią zbliżył się do dębu. Żmij spał jak zakłęty.

„Naduśliś dziewcząt niemało—myślał sobie król Waligóra—koniec tobie: już więcej dusić nie będziesz.”

Żmij spał snem bohaterskim. Waligóra przymocował go łańcuchem do dębu i poszedł. Usiadł opodal na wzgórzu odpoczywać z drużyną i czekał przebudzenia się żmija skrzydlatego.

Obudził się żmij i poczuł, że mu łańcuchy ciała opasują. Machnął skrzydłami raz—poszło echo po lesie, dęby podąły go dębom, buki bukom, a lasem jakby Pochwist przeleciał, —ale dąb wytrzymał. Machnął drugi raz—jakby stu nie-

dźwiedzi ryknęło; zatrzęsła się ziemia, zadrzęły drzewa — ale łańcuchy nie pękły.

Widzi żmij, że nic nie poradzi: dalej — że w prośby:

—„Hej, wietrze, wietrze, mówił do wiatru, który koło niego przelatywał—byłeś ty mi zawsze druhem, pomagales zawsze, czym z domu, czy do domu leciał; zrób mi przysługę, odślużę tobie kiedyś: poleć do królewicza Waligóra i powiedz niech zdejmie ze mnie łańcuchy; będę mu sługą i niewolnikiem do końca życia... Wiem, że to jego ręka przywiązała mnie do dębu: niechże jego ręka i rozwiąże mnie.”

Poleciał wiatr powoli między drzewa i przyleciał do wzgórza, gdzie z drużyną odpoczywał król Waligóra i do ucha wyszeptał mu prośbę żmija.

—„Hej, drużyno! chodźmy do żmija — rzekł król Waligóra—dam robotę żmijowi; jak mi obieca zrobić ją—rozwiążę, jak nie—niechaj wiści, przykutą, do skończenia świata.”

Poszedł Król Waligóra z drużyną lasem i doszli do żmija.

Żmij, zmęczony, już nie borykał się nawet z łańcuchami; złożył skrzydła, tylko żar buchał mu z gęby, jakby się żądło paliło.

—„Król Waligóra! Cóżem ci uczynił, żeś mnie tak podszedł i związał? Odwiąż, król Waligóra, odślużę tobie, jak zechcesz.”

A Waligóra groźnie doń zawołał: „Rozbójniku! wykradłeś najładniejszą dziewczętą w okolicy; drugi rok szukam i nie mogę sobie żadnej znaleźć na żonę.”

—„Nie będę więcej; już mi nic do nich i puść mnie tylko żywego, król Waligóra.”

—„Dobrze, puszcę—ale wyręcz mnie... Ty łatasz, to łatwiej znajdziesz ode mnie, znajdź mi dziewczynę na żonę.”

—„Rozwiąż... znajdę, jaką zechcesz i odlecę za morze do trzydziestego państwa, aby winy dawne odpokutować.”

—„Znajdź mi taką—rzekł król Waligóra—aby cała była jak słońce wesoła, twarz miała jak krew z mlekiem, oczy jak dwie jutrenki, włosy jak len białe, a dobra była jak gołąbka. Wyszukaj ją i powiedz gdzie jest.”

—„Wyszukam, król Waligóra, odślużę tobie...” Zlitował się król Waligóra nad żmijem i łańcuchy rozwiązał.

Żmij pokłonił mu się do pasa i podziękował. „Odślużę tobie, król Waligóra... Wyszukam taką dziewczynę na żonę, jakiej jeszcze żaden król nie miał!”

„Pamiętaj! bo jak cię jeszcze raz przywiążę—nie rozwiążę pewnie!”

Żmij pokłonił się znowu do pasa królewiczowi i odleciał, a król Waligóra z drużyną wrócił do domu.

Żmij o przyrzeczeniu danem królewiczowi pamiętał dobrze i dzień i noc latał ponad ziemią i szukał takiej dziewczyny, jakiej żądał król Waligóra.

Leciał raz nad miastem, a miasto było wielkie na wzgórzu, dołem płynęła rzeka, a na górze cerkwie połyskiwały złoconemi krzyżami do słońca, choromy bojarskie i kniaziewskie bielały pomiędzy sady—Kijów nie Kijów, Perejasław nie Perejasław, Bielhorod nie Bielhorod, zmiarkować nie mógł, aż widzi: w cieniście sady przy choromach siedzi dziewczyna i len przędzie. Rzucił żmij okiem na dziewczynę—aż mu żądło do gardzieli przyszło, taka dziewczyna była ładna... byłby ją podawnemu zielonem ciałem obwinął i uniósł, gdyby się nie bał królewicza. Latał sobie ponad miastem i myślał, a Pochwist, druh stary, chwycił mu myśli i kładł do ucha dziewczynie...“

—No, a dziewczyna była ładna? — ktoś spytał.

—Jaka? — powiedział stary. —Dziewczyna była ładna...—ciągnął dalej Putiata—ot taka, jak Luda Kośniaczówna...”

Wszystkich spojrzeń skierowały się ku Ludzie. Kośniaczówna okryła się rumieńcem i, jakgdyby nie słyszała słów Putiaty, nie czuła na sobie spojrzeń, lecz przędła.

—Pochwist szeptał dziewczynie: „Nie długo ci siedzieć w terenie samotnym... przyjdzie tu król-

lewicz do ciebie i za żonę cię weźmie... O! jaki piękny królewicz! Jak tylko rzucisz nań okiem, już cię spojrzeń bojarских synów cieszyć nie będą; jak się tylko uśmiechnie do ciebie, za jego uśmiechy oddasz świat cały; jak przemówi do ciebie—będziesz myślała, że ci Bojan cały dzień pieśni śpiewał...“

Wysłaniec żmijów szeptał ciągle do ucha dziewczyny słowa, jak miód słodkie, a dziewczyna prząść przestała, położyła wrzeczono na kolanach i słuchała Pochwista, jakby ją zaczarował swoim opowiadaniem.

Żmij, zostawiwszy Pochwistę przy dziewczynie, leciał ponad lasy, ponad rzeki, ponad góry, aż przyleciał do królewicza Waligóry i powiedział, że znalazł dziewczynę.

Rozkołysawszy serce dziewczyny, jak brzozę, Pochwistę poleciał sobie dalej, ale szepty jego ciągle jeszcze, jak echa, brzmiały jej w uszach. Nie mogła ani prząść, ani śpiewać, ani robić; mijaly dnie, tygodnie, a dziewczyna pasma nie naprzęda, bo przeszkadzały jej echa podszeptanych myśli; nie mogła nic robić: czekała przyjscia zapowiedzianego przez Pochwistę królewicza.

I doczekała się...

Królewicz Waligóra nie posłał do dziewczyny swatów, ale kazał drużynie posiadać konie i stępami, jarami, dolinami pojechał do miasta, które było—Kijów nie Kijów, Perejasław nie Perejasław, Bielhorod nie Bielhorod; wysłaniec Pochwistów leciał przodem i drogę królewiczowi pokazywał...

Królewicz Waligóra dziewczynę poznał, na konia posadził i w świat powiózł...

Putiata zamilkł na chwilę i brodę poglądził.

— No, jakże? To niby koniec—ktoś się odezwał.

— Nie, pobrali się jeszcze...—dodał łagodnie uśmiechnięty Putiata — szczęśliwie żyli, miód i wino pili, mnie częstowali ile chęci stało, po brodzie ciekło, a w gębie nic nie zostało...

Już była północ, kiedy się baśń zakończyła. Dziewczęta trochę jeszcze rozmawiały ze sobą i z mężczyznami przekomarzać się zaczęły.

Niedługo potem weszła do grydnicy Bracysławowa, a stanawszy pośrodku, pokłoniła się najpierw dziewczętom, a potem chłopcom.

— Dziękuję wam, krasne dziewice, i wam, jasne sokoły, żeście przyszli wcześniej, słuchali pieśni, łaskawi byli, na nas patrzyli; jak żyć będziemy, jeszcze prosimy.

Poczem pokłoniła się poraz drugi—i goście poczeli wychodzić; najpierw wychodzili mężczyźni, a niezadługo za nimi dziewczęta. Uwagi Ludy, nie tyle Ludy, ile druzek, nie uszły spojrzeń Wyszatycza. Wracając do domu, mówiły do niej:

— Ej, Ludo! wezmą nam ciebie prędko!

— Kto weźmie?

— Alboż nie widzisz? Był Wyszatycz na sobótce w bogaty wieczór, był i teraz, a patrzył na ciebie tak, jakby nikogo więcej nie było.

— Zdaje się wam...

— Czekać ci swatów, oj czekać!

Luda nie zwróciła na to uwagi, a przynajmniej nie odpowiedziała, a tymczasem doszli do domu. Inna myśl snuła się jej po głowie — marzył się jej Żmij, Pochwist, Królewicz Waligóra...

Na progu Kościackowego teremu czekała na Ludę Dobromira.

— Spóźniłaś się, moje dziecko.. już chciałam biedz po ciebie — rzekła.

— I dobrze, żeś nie poszła, matko! Odprowadziły mnie dziewczęta aż do furty.

— Chwała Bogu... A Putiata był?

— Wiesz, matko, jaką nam baśń powiedział, że mówił, o Żmiju skrzydlatym i o Królewiczu Waligórze...

— Putiata na baśni chwiał!

Weszły obie do górnicy i teraz dopiero Dobromira spojrziała na Ludę: twarz jej zarumieniła się od wiatru, ale większą żywością igrały oczy, jakby myśl, niedawno zapadła w duszę, dopalała się w ogniu błękitnych oczu. Nie uszło

uwagi Dobromiry to niezwykle ożywienie dziewczyny; udawała jednak, że nic nie spostrzegła.

— Jakże się baśń skończyła? — spytała.

— Oh... Jak zawsze... Królewicz wziął dziewczynę za żonę...

— No, to i dobrze... Pogładziła pod brodę Ludę i dodała:—I ciebie nie damy byle komu... wartaś ty także królewicza...

Luda była już w takim wieku, że serce dziewczyny pragnęłoby kogoś pokochać, oglądało się wkoło siebie, a z tych, których znała i widziała, nikt jakoś do serca jej nie przypadał. Po dnecana fantazy szukała sobie obrazów poza rzeczywistością, ażeby niemi nasycić i zaspokoić tajone pragnienia i rojenia duszy. Terem ojcowski dla serca rwącego się do miłości już był zaciasny dziewczynie; zaludniała go temi postaciami, które tworzyła fantazy. O uszy jej obijały się nieraz opowiadania o rycerzach zachodnich taksamo, jak skazki o królewiczach i czarowanych królewnach, a myśl w samotnem zaciszu teremu pozlacała sobie wymarzone obrazy przerabiane na słyszane temata.

Minęło już kilka dni od ostatniej Sobótki.

W mroźną gwiazdzistą noc od dworu tysiackiego na Berestowie jechało dwoje sani, a na saniach siedziało po dwóch podróżnych. Minawszy peczerski monaster, podróżni wjechali w las gęsty i wązki, a krętą drogą leśną zdążali w kierunku ku Padołowi. Przejchawszy most na Chreszczatym Potoku, sanki pomknęły równiejszą drogą, doliną dosyć głęboką, pomiędzy wzgórzem, na którym piętrzyła się Ściana Kijowska i widać było szczyty mnogich cerkwi, a rzeczką Poczajną. Niedojchawszy do Padołu, sanki zwróciły do Boryczowego Wąwozu; widocznem było, że podróżni zdążają na Górę. Musieli należeć do drużyny lub kniaziewskiego dworu, kiedy do grodu jechali nocą, bo nocą bramy grodowe zamykano i zwyczajnych podróżnych nie wpuszczano.

Straż nocna zatrzymała jadących przed bramą, a strażnik wpuścić nie chciał i długo się wahał.

— Cóż wy za ludzie jesteście? — pytał.

— Od tysiackiego z Berestowa.

Spoglądał niedowierzająco na nich.

— Aż na dwóch saniach?

— Na dwóch... bo trzeba...

Wydawało się to jakoś podejrzaniem strażnikowi.

— A macie znak jaki tysiackiego?

— Mamy...

Nastąpiła prezentacja znaku. Widać, że to wystarczało. Strażnik rozmawiający z nimi przez okienko zniknął i po chwili poczęto rygle odsuwać.

Nic dziwnego, że miano się na bacności i że straż więcej czuwała, niż zwykle, Połowcy bowiem, przeszedłszy Dniepr po lodzie znowu napady robić poczęli; obawiano się zdrady.

Podróżni, wjechawszy do grodu, minęli kniaź dwór, cerkiew Dziesięcinną i Babin Targ, przejechali przez bramę i most w Kniażym Końcu i wjechali na drogę koźmiacką. Mało co przejechawszy, jedne i drugie sanie zatrzymały się przed dworem wojewody Kościacka.

W domu wojewody było cicho. Niekiedy odzywały się z górnicy głosy dziewcząt, ale głucho prędko. Stary wojewoda chodził sam po grydnicy i modlił się, kiedy posłyszał stukanie do bramy; wysłał czeladnika do okienka dowiedzieć się: kto i czego chce.

Po chwili przybiegł otrok z wieścią.

— Goście do waszej miłości z Berestowa...

Jakoś mu te nocne odwiedziny do smaku nie przypadły, ale rzekł spokojnie:

— Otworzyć bramę.

Tymczasem innemu otrokowi kazał zapalić w grydnicy odświętne świece jeden i drugi i w siebie gościom poświęcić.

Zaledwie wojewoda rzucił okiem na gości i ich święteczne stroje, domyślił się wszystkiego. Były to swaty od Wyszatycza; druzki wyszebiotały prawdę.

Przodem szedł starzec z wielką siwą brodą

do pasa, w sobolowej szubie, którą jeszcze w darze od Jarosława Mądrego otrzymał, spiętej wielką mosiężną kłaurą pod szyją; zpod szuby miął mu szafirowy kaftan, bogatym podpasany pasem. Był to stary Warażko, znajomy i druh wojewody, posadnik z Bielhoroda, a krewny Wyszatycza, który teraz starostował w jego imieniu. Za nim szło jeszcze kilka osób.

Swaty weszli do grydnicy i, zatrzymawszy się pośrodku, żegnali się i kłaniali wszyscy po kolei do obrazów, potem każdy z nich pokłonił się wojewodzie do pasa i wszyscy rzekli chórem:

— Czołem bijemy, wojewodo!

Wojewoda odkłonil się takim samym ukłonem, jakim go przywitani goście.

— Proszę za stołem usiąść, chlebem i solą nie pogardzić.

Goście, pokłoniwszy się, zajęli wskazane sobie miejsca i podług przyjętego zwyczaju milczeli, czekając aż gospodarz o powód przybycia zapyta. W ogólnem milczeniu przeszła chwilka.

— Raczej wasze poselstwo opowiedzieć — przemówił wojewoda.

Posadnik z Bielhoroda powstał i, do pasa pokłoniwszy się wojewodzie, rzekł:

— Wyszatycz nas przysłał i prosi u waszej miłości Ludy za żonę.

Wojewoda, pochyliwszy wzrok i głowę milczał, a swat mówił dalej:

— Nasz chłopiec stoi sam, jak jasny sokół wśród pola, bije wam czołem, wojewodo, i prosi cześci i sławy. Wasza miłość wie dobrze, że to chłopiec stateczny; i kniaziewie i ludzie miłują go, skotu ma wiele, pasiekę dobrą i pszenica z zasieka nie wychodzi. Urody mu Pan Bóg nie poskąpił: stąpi—jak kniaź, spojrz, jakby sobolem obdarował... Dajcie, wojewodo, dziewczynę, rozweselcie serce młodzieńca; niechaj pobiorą się i żyją szczęśliwie.

Wojewoda wysłuchał z powagą mowy swata, a kiedy ten usiadł, skończywszy, rzekł:

— Dziękuję wam, goście i swaty, za cześć i za sławę. Wyszatycza poważam i szanuję, jak syna, ale wy wiecie—u mnie dziewczyna młoda... trzeba się poradzić... coś przysposobić... poczekajcie, bądźcie łaskawi!

— Po co masz — na to Warażko — trzymać dziewczynę w teremie? komuż to ma chować Luda rusą kosę i piękność dziewczęta?

Wojewoda, widocznie nie, chciał dać stanowczej odpowiedzi, zapraszał swatów jeszcze raz przybyć, a tymczasem wymawiał się potrzebą rady. Z kim się on miał radzić i po co?

On przecie widział, że Luda nie patrzyła łaskawem okiem na Wyszatycza. Wynajdywanie więc zwłoki równało się odprawie posłów z niczem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOTATKI PEDAGOGICZNE.

— Kolonie letnie u bogich dzieci w Radomiu nie przyszły do skutku. Zmieniono ten zamiar na inny, równie dobroczynny, a może potrzebniejszy w mieście niezbyt rozległym, więc mniej dusznem i nietyle pozbawionem dopływu świeżego powietrza, jak miasta wielkie. Postanowiono urządzić w to miejsce kolonią leczniczą, to jest wysłać do kąpeli w Solcu partję dzieci skrufulicznych i potrzebujących kuracji. Zostało wysłanych w ten sposób pod opieką odpowiedzialnej dozorczyńi dziesięcioro dzieci na dni trzydzieści pięć, a koszt wysyłki pokrywa się z ofiar, złożonych na kolonie letnie i z koncertu na ten cel danego. Koszt wysłania jednego dziecka, wraz z częścią ogólnych kosztów w podróży i wynagrodzenia dozorczyńi, wynosi 20 rs. Jakkolwiek zamiar kolonii letnich nie przyszedł do skutku, należy zaznaczyć poczciwą chęć p. Kuźnickiego z Mirowa, który ofiarował we wsi Osiny pomieszczenie dla 30, a w Bzinie dla 12 dzieci.

— W Radomiu ma powstać ochrona, w której znajdą całodzienną opiekę dzieci rodziców, pracujących poza domem. Stać się to ma za staraniem p. Konstantego Lubońskiego, prezesa Radomskiego Towarzystwa Dobroczynności. Czyn to jest w całym znaczeniu tego wyrazu dobroczynny i niewątpliwie niejedne usta matki wyrobniicy powiedzą jego twórcy gorące: — „Bóg zapłać.“

— W Kaliskiem istnieją cztery ochrony: w Kaliszu, Sieradzu, Wieluniu i Łęczycy. Dwieście kilkadziesiąt ubogich dzieci znajduje tu opiekę, pożywienie i pierwsze promyki oświaty. Utrzymanie tych dobroczynnych zakładów wymaga przeszło 4.000 rs. rocznie, które pokrywają się z procentów od niewielkich kapitałów zapasowych. Ochrona Kaliska otrzymuje od magistratu 300 rs. rocznie.

— W Krakowie komitet Ochron wykazuje w sprawozdaniu za rok ubiegły, że miasto to posiada tylko cztery ochrony na przedmieściach swoich: na Kleparzu, na Piaskach, na Wesołej i na Kaźmierzu. Do każdej z nich uczęszczało przeszło po 200 dzieci, z tej zaś liczby ledwie 40 było w stanie uiścić się z opłaty, która wynosi tygodniowo 10 centów, a dodać należy, że oprócz opieki i nauki, dzieci dostają też pożywienie. Opłatę trzeba było dla jednych zniżyć, dla drugich wcale usunąć. Komitet Ochron skarży się bardzo wymownie na obojętność ogółu dla tych instytucji dobroczynnych, najwyższej społecznej potrzeby. Czytając to mimowoli przychodzi na myśl, zali kobieta podwawelskiego grodu nie czuje, że tu jest jej obowiązek obywatelski, jej powinność niewieścia współczucia z dzieckiem opieki potrzebującym? Majątek Stowarzyszenia Ochron Krakowskich wynosi 45.445 złr. Przychód był w roku ubiegłym 5.406 złr.; rozechód 4.982 złr. Remanentu jest 424 złr.

— W szkołach francuzkich próbowano zaprowadzić nowość bardzo pożyteczną w zasadzie, jakkolwiek niełatwą do wykonania w edukacji publicznej, która przecież w nauczaniu domowym oddać może wielkie usługi. W 1882 r., francuzki minister oświecenia wydał reskrypt nakazujący, aby każde dziecko, wchodzące do szkoły publicznej, poczynając od elementarnej, otrzymało od władzy szkolnej zeszyt, przeznaczony na wypracowania z głowy (cahier spécial de devoirs mensuels), a który powinien być zachowanym przez cały czas nauki szkolnej z celem, aby wypracowania na temat zadany, pisane co miesiąc w godzinach nauki i w obecności nauczyciela, służyły do wykazania postępów ucznia z roku na rok, uwidoczniając rozwój jego inteligencji i zyskane zasoby naukowe. Obraz ten całego procesu kształcenia się młodego umysłu, przeznaczony był w myśli ministra tak na użytek przełożonych, jak i uczącej się młodzieży. Wiedzieć, czy nie zalega się pola, czy idzie się naprzód i dotrzymuje w ciągu czasu obietnice, czynione sobie? to rzecz ważna dla ucznia i bodziec dobrego rodzaju, bo oparty na rachunku ze samym sobą — na emulacji dnia dzisiejszego z tym, który upłynął. Uznano to wszystko w szkołach francuzkich, ale utrzymywanie tych zeszytów wymagało bibliotek całych, przytem poprawianie tytu wypracowań nadetatowych, pomnażało wielce pracę nauczycieli i innowacya, mimo swoich wielkich korzyści formalnych, utrzymała się tylko częściowo, jedynie w pewnych szkołach.

Czy jednak w edukacji domowej zastosowanie jej nie byłoby korzystnym i z tego jeszcze względu, że rodzice mieliby sobie przedstawiony, w formie najłatwiejszego dla nich egzaminu, obraz postępów, czynionych przez dzieci? Gdy następnie dzieci te przeszłyby już z nauczania domowego do szkół publicznych, jeszcze takie egzamina przez wypracowania, zadawane przybywającym do domu uczniom w przedmiotach ważniejszych, nie przestałyby być użytecznymi, bo rodzice

zbadaliby bliżej stan rozświecenia umysłu ich dziecka, jego skierowania i dążności naturalne w połączeniu z postępami, w ciągu roku czynionymi. Wakacje są niewątpliwie czasem od poczynku dla umysłu i swobody, która moralnie i fizycznie dziecko odżywia, ale przez ciąg ich trwania można rzecz proponowaną otrzymać bez nacisku, który zaciężyłby na umysłach młodych. A przytem drugostronnie, wakacje są tym czasem właśnie, w którym szkoła zwraca dziecko rodzinie, w którym na jej łono je oddaje, więc musi to być i czas tego obowiązku rodzicielskiego, aby ojciec, matka, wejrzeni w głąb dzieci swoich i dowiedzieli się, jaka też to istota ludzka wyrabia się z nich — jaki to umysł, jakie to serce kształci się i rozpęd swój bierze do światła, do życia?

Przytem uczeń nerwowo zalęknie się nieraz przy egzaminach na cenzurę, co wobec rodziców już miejsca niema, a przynajmniej nie w takim stopniu, i zresztą jest to obowiązkiem rodziców, aby wglądali w umysły dzieci i nie opuszczali ich moralnie i intelektualnie, aż do czasu umysłowej dojrzałości. Pomysł ministra francuzkiego jest też doskonale praktycznym środkiem do wypełnienia jednego z ważnych obowiązków rodzicielskiego czuwania nad uczącymi się dziećmi — doskonale praktycznym środkiem samoedukacji młodzi. Może Rousseau był dla ministeryalnego reskryptu natchnieniem, jak to pisma francuzkie wspominają. W III-ciej księdze *Emila* stary mistrz wykazując, jak wychowawca powinien rozbudzać w umyśle ucznia ciekawość naukową i w tym celu nasuwać mu przed myśl i wzrok przedmioty, które dają pragnienie wiedzy, ostrzega na wstępie: — „Nie pokazuj mu nic, czego dziecko wiedzieć nie powinno...“ a dalej zakazując, aby podnieść do nauki nie było współzawodnictwo z kolegami, ani miłość własna, bo „stokroć lepiej jest nie uczyć się nic wcale, niż uczyć się przez zazdrość, lub próżność,“ — pisze nakoniec: „Zaznaczałbym mu tylko corocznie postępy, jakie czyni; porównywałbym je z tem, co trzeba mu osiągnąć w roku następnym i powiedziałbym mu: — „Urosłeś już o tyle a tyle linii: taki oto rów już przeskoczyłeś, taki ciężar uniosłeś, na taką przestrzeń cisnąłeś kamyk (z twej procy), taką odległość ubiegłeś jednym tchem — zobaczmy teraz, co zrobisz dalej? W ten sposób podniecam go, ale nie czynię względem nikogo zazdrośnym. Zapragnie on przewyższyć — ale tylko samego siebie, co należy się, aby czynił i niema tu już nic złego w tem, aby współzawodniczył sam ze sobą...“

Minister tego właśnie chciał i nawet jest w jego reskrypcie jedna bardzo ważna wskazówka pedagogiczna dla nauczycieli i rodziców, aby zasługa była przyznawana uczniowi, nie według powodzenia, ale wedle chęci i starań lożonych. Rodzice, którzy postępują inaczej, dręczą daremnie dzieci mniej zdolne, zniechęcają je do nauki i uczą niemoralności, bo szczęście przedstawiające się w postaci bogatszego obdarowania natury wynoszą ponad pracę w dążeniu do chwalebego celu. Jest egoizmem rodzicielskim i niesprawiedliwością, gdy się kocha więcej dziecko ładne, niż brzydkie; taksamo, egoizmem jest i niesprawiedliwością, gdy uznanie rodzicielskie lub nauczycielskie dostaje się tylko szczęśliwemu skutkowi, bez brania w rachunek pracy i usiłowań w wypełnieniu obowiązku. Na okładce wzoru owego proponowanego zeszytu: „cahier type,“ które ministeryum oświecenia rozesłało w 1884 roku do wszystkich szkół i szkółek francuzkich, była wydrukowana bardzo rozumna w tem znaczeniu przemowa:

— „Dziecko! postępuj tak, abyś za to streszczenie twoich postępów szkolnych nie potrzebował się rumienić. Nie jest to rzeczą konieczną, abyś stał w pierwszym rzędzie, ale nie masz być w tym ostatnim, gdzie znajdują się leniwi i niechętni do pracy, do nauki. Zeszyt ten danym ci został nie w tym celu, abyś się mierzył z towarzyszami twymi, lecz ze samym sobą. Nie chodzi tu o pokazanie czyj jest intelligentniejszym, więcej umiejącym od towarzyszy, bieglejším w tem od nich, ale czy co rok, co miesiąc coś więcej wiesz, coś lepiej sądzić umiesz, niż poprzednio — czy

będziesz się starał jutro być pod tym względem więcej wart, niżeli dzisiaj?...“

Takie względem ucznia stanowisko władzy rodzicielskiej i nauczycielskiej jest równie szlachetnym i dobrze edukującym, jak pomyślnie wpływającym na rozwój jego zasad moralnych i zdolności umysłowych. Przy takim kierunku powodzenie nie zavraca głowy próżnością, nie powodzenie nie przybija ostatecznie do ziemi, nie czyni mniej zdolnego ucznia zdeperowanym głąbem, który już żadnej ambicyi nie ma, o nic wyższego, szlachetnego się nie ubiega. Cnota i praca w kierunku obowiązków moralnych powinna stać w wychowaniu u wyżej nad postępy w naukach, bo jest coś wyższego nad wiedzę, nad talent, nad zdolność zape wnionego w świecie powodzenia — uczciwość!

Więc też, kiedy dzieci wracają na wakacje w dom rodziców, należy się ojcu ich, matce zapytać najpierw, jak na spowiedzi: czy pracowali szczerze, pilnie, z przejęciem i uczuciem obowiązku? Jeżeli tak było, niech nie odpychają od swego serca dziecka mniej szczęśliwego, dla tego, że jest mniej zdolnym; niech drugostronnie nie wbijają w pychę zwycięzcy, który im przynosi otrzymane laury. Niech mu powiedzą najpierw: — „Spełniłeś twój obowiązek, — po tem niech ucieszą go pochwałą za pilność, bez której sama zdolność nie wydałaby pomyślnych rezultatów, a w końcu niech mu dodadzą, całując czoło, z którego wyższa myśl prześwituje: — „Noblesse oblige...“

Zaprowadzony na użytek rodzin zeszyt wypracowań dorocznych wykaże rodzicom, oile postępy w nauce są rzeczywiste, oile rozwój inteligencji zyskuje na szerokości i głębokości myśli i jest prawdziwym oświeceniem umysłu, a nie pamięciową zdolnością dobrego wydawania lekcji. Ale wyższą nad to wszystko — nieskończenie, nieporównanie wyższą rzeczą jest jeszcze to, że z tych wypracowań wystąpi do rodziców młody duch ich dziecka, — nagięcie, skierowanie jego myśli, w których przejrzeć się będą mogli, a przeglądając się powinni — bacznie, uważnie, oh! jak uważnie...

Powtarzam to, że wakacje zwracają jakoby młodzież rodzinie — oddają ją na łono ojca, matki, i rodzice, którzy chcą, aby węzeł pojęć i uczuć pozostał pomiędzy nimi a potomstwem ich nie rozerwany, niech pamiętają o tem i niech najpierw czynią dziecku wakacje miłą, słodką uczta miłości rodzinnej, która serce jego ogrzeje i wspomnieniem swoim pójdzie za niem w świat, w życie, a potem niech do moralnego siewu pierwszego dzieciństwa dodają rokrocznie nowe ziarna cnot i pojęć uczciwych.

M. Ilnicka.

W ANTYLLACH.

Przez

Quatrelles

przekład M. K.

I.

Przybycie do Hawany.

Niewiele równie słodkich i radosnych wrażeń doświadcza się w życiu jak to, którego doznaje wędrowiec przybywający do portu po długiej, ciężkiej morskiej przeprawie, szczególnież też, gdy niebo jest tak błękitnem, jak niem być może jedynie pod zwrotnikiem, i wobec takiego widoku, jaki się roztaczał przed naszymi oczyma. Zapomina się odrazu o wszelkich przeżytych cierpieniach i niebezpieczeństwach, a jeżeli wspomni się o nich, to tylko, aby podziękować Bogu, iż dał siłę do ich przetrwania. Przypomnienie minionych przykrości potęguje jeszcze radość chwili obecnej.

Wspaniały blask słońca olśniewa oczy twoje, zachwycę cię klimat łagodny, zdumiewa cię uro-

cza piękność kraju i nowe, całkiem dotąd nieznanne widoki, i gdyby człowiek nie był stworzeniem tak nierozumnym, jak jest, z pewnością pozwoliłby płynąć łzom rozrzewnienia, nabiegającym do oczu łzom, które przez idyotyczną tylko powstrzymuje dumę.

Kapitan od dnia poprzedniego zwolnił bieg okrętu, albowiem skromna i przezorna Hawana zabrania w nocy zawijać do portu. Przybywamy zatem o godzinie wyznaczonej. Latarnia morska głośno, rozlega się huk armatnich strzałów. Na szczyt maszty zaciągają sztandar Hiszpanii; my również wywieszamy naszą flagę. Sternik wzywa nas do przybicia do lądu, i port już jest dla nas otwarty. Nalewo wznosi się *Morro*, strojne w rozwinięte sztandary, naprawo—twierdza Punta. Na wzgórzach piętrzą się całe szeregi fortów, nasypów, wież, wieżyczek i wałów, błyskających spiszowemi zębami. Wpływamy w przejście, mające 1.500 varas długości a 350 szerokości. Nalewo za nami pozostaje zamek *Casablanca* i głośne, ożywione *Regla*, aż wreszcie znajdujemy się wprost Hawany.

Ogólny widok wspaniały. Port natłoczony okrętami wszelkich narodowości, wszelkich rozmiarów i kolorów. Zatoka, mająca trzy mile ¹⁾ obwodu, jest niby trzykrotnie wcięta. Pierwszy obwód pomiędzy Casablanca i Regla to *Triscornia*; drugie wgłębienie po drugiej stronie cypla Regli zowie się *Guanabacoa*; trzeci, w samym wnętrzu zatoki, *Atares*.

Wokół, na wzgórzach, rozrzucone zameczki, wille, obszerne czworokątne zabudowania — kształt zarówno tu jak i na Puerto-Rico wiele rozpowszechniony — olbrzymie magazyny, fabryki okrętów, a wśród tego wszystkiego tu i owdzie kępy drzew palmowych. Naprzeciwko Hawana ze swemi malowniczymi domami i terrasami maurytańskimi, z szerokimi zakratowanymi oknami, z dwonicami, w których dźwięczą dzwony, z wybrzeżami, zapełnionymi pakami towarów, — ładują je na okręty lub wyładowują Murzyni, o tyle niezgrabni, o ile silni, oraz Chińczycy — o tyle zręczni, o ile słabi i wzięli.

Wszystko to ukazuje nam się poza tą niby złocistą mgłą, która w chwili rozpoczynającego się dnia otacza każdy przedmiot, a ukośne promienie słońca muskają fale, rozbijającą się z cichym pluskiem o boki stojących na kotwicach okrętów. Nietylko wzrok nasz doznaje zadowolenia. Po dwudziestu dniach przebytych na pokładzie okrętu, podczas których nic się nie słyszało, oprócz szumu bałwanów morskich i zgrzytu kół maszyny parowej, gwar dochodzący do nas z lądu zdaje nam się być najradośniejszą symfonią.

Dzwony brzmią wesoło. Na pokładach okrętów, obok których przepływamy, rozlegają się urywki piosenek, odległe echa wybrzeży bretońskich, włoskich słonecznych prowincji lub przypuszczonych śniegami norweskich fiordów. Przewoźnicy zamieniają wesołe żarty. Turkot wózków i powozów sprawia nam najwyższą przyjemność. Nawet rozkazy naszego kapitana brzmią tutaj inaczej jakoś, dobitniej. Po deskach pokładu skrzypią ciągnięte paki i kufry.

Przy samem wejściu do portu, na murach Morro, wprawia się muzyka wojskowa, zdala więc dolać do nas urywki z „Trubadura.“ Opada nas też istna flota małych łódek, lecz nikt nie śmie jeszcze zbyt się zbliżać; krzyżują się tedy w powietrzu propozycje usług, objaśnienia, wywołwane pohiszpańsku lub angielsku, to znów po francuzku lub niemiecku. Nakoniec zatrzymuje się nasz *Eider*. Każdy, spragniony jaknajrychlej dostać się na ląd, śpieszy zamówić łódkę. Wkrótce przybywają na pokład okrętu urzędnicy policyi, zdrowia i komory wraz z podwładnymi; wszystkie wyjścia zostają obsadzone strażą. Następnie nadpływają łodzie z przyjaciółmi i znajomymi, brzmią powitalne okrzyki, zamieniają się wzajemnie z oddalenia pocałunki, udzielają wiadomości o drogach i blizkich sercu; powiewają chustki, podnoszą się kapelusze. Odważniejsi wstępują nawet na pokład; wówczas uściskom już

niema końca. Łzy płyną, lecz łzy to nader słodkie.

Urzędnicy policyjni, jak również urzędnicy zdrowia dopełnili formalności, pozostaje już tylko załatwić się z komorą. Z ręcznymi pakunkami dopływamy łodziami do lądu i na wybrzeżu oczekujemy na nasze kuiry i paki. Rewizya odbywa się szybko, urzędnicy nadzwyczajnie grzeczni.

Następnie przechodzimy do okienka poborecy, który wzamian za nasze paszporty, wydaje nam po opłaceniu dwóch dolarów od osoby pozwolenie wylądowania, bez względu na to, iż nazajutrz trzeba nam będzie za takążsamą summę wydobyć kartę pobytu. Przy wyjeździe płacimy znów, odbierając paszporty, i jeszcze zapłacimy za pozwolenie wypłynięcia z portu.

Są to drobne zyski Hiszpanii, a sprawiedliwość wyznać mi każe, iż władze wszelkie nader są tu uprzejme dla wszystkich niezbyt ściskających sakiewkę.

II.

Najście Francuzów.

Zdarzyło się pewnego razu, iż do rewizyi stał się biedaczysko jakiś z klatką pełną wróbli. Byli to przyjaciele z Europy, których przywoził ze sobą. Rozpowiadał długo i szeroko o rodzinnym swym kraju, i chcąc dowodnie przekonać, że go nie unosi miłosne uprzedzenie, przywoził pięćdziesięciu świadków. Dotąd jeszcze nigdy ta szara ptaszyna nie dała słyszeć swego świągotu wśród mieszkańców hawańskich; lecz wędrowiec wielce się zakłopotał, skoro na komorze zażądano od niego opłaty celnej od skrzydlatej rzeszy.

— Za co mam płacić? — zapytał — alboż ptaki te potrzebują posiadać kartę pobytu.

Ale nic to nie pomogło: trzeba było poruszyć kieskę. Zaczęto przeglądać taryfy, ale ponieważ nic nie jest doskonałym na tym świecie, a w taryfie nie było artykułu o wróblach, zatem urząd celny po poważnym namyśle, zaliczył skrzydlatych podróżników do rzędu *żywego drobiu*.

Usłyszawszy takie obelżywe sponiewieranie swych przyjaciół, podróżny wpadł w gniew. Powstrzymując się jednak, prosił jeszcze, bo biedak to był, ale prośby nie odniosły żadnego skutku. Już jeden z celników wyciągnął rękę po klatkę, wystraszone wróbelki zbiły się w jedną gromadkę, lecz wówczas ich pan uniósł się wyniosłym gniewem, otworzył przyjaciółom swoim drzwi więzienia i chmara skrzydlatej kontrabandy przebyła komorę, przefrunęła ponad miastem i znikła wśród zarośli na polach. Komora niewiele zyskała.

Od dnia owego upłynęło ze trzydzieści lat. Co się stało z człowiekiem, który przywiózł wróble, — niewiadomo; ale na wyspie znajduje się mnóstwo wróbli, pobierających podatek od wszelkiego zboża, które tu rośnie, i mszczących się w ten sposób na taryfie celnej i celnikach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Wiadomości z Medycyny i Hygieny Popularnej.

Jak gasić pragnienie w czasie upałów?

Podczas wielkich upałów, (których, jak dotąd, nie mieliśmy, lecz nie trzeba tracić nadziei; słońko robi swoje: jeżeli zawiodło w Czerwcu i Lipcu, da nam się we znaki w Sierpniu) ważną jest rzeczą, ze względów higienicznych, gasić pragnienie w ten sposób, aby nie wywarło złych skutków na zdrowie. Tymczasem zaraz na wstępie uczynić musimy zarzut, że większość czyni zadosyć potrzebie przyjęcia zimnych płynów

w sposób narażający w mniejszym albo większym stopniu zdrowie na szwank: jedni piją za dużo, lub zamało, inni w ten sposób, że osłabiają siły lub nawet wpadają w ciężką chorobę.

Jest rzeczą również niezbędną zachowywać w tym względzie pewne przepisy, jak i w jedzeniu.

Większa część chorób, dotykających człowieka podczas lata, bardzo często bierze początek w nadużyciach ochładzania się.

Nie będziemy w tem miejscu zastanawiać się nad różnemi rodzajami napojów, chociaż wypada nadmienić, że najzdrowszym napojem podczas lata jest dobra woda, — pomówimy o tem może kiedy indziej. Dziś zobaczymy tylko *w jaki sposób* należy pić, aby zdrowiu szkody nie wyrządzić.

Czy nie należy pić, gdy organizm jest bardzo rozgrzany? Czy gasi się pragnienie przyjmując naraz duże płynu, czy, przeciwnie, w ten sposób jeszcze bardziej zostaje pobudzonem? Jak należy pić, aby usunąć pragnienie, manifestujące się suchością w ustach i w gardle? Oto są główne punkta wymagające nieco bliższego określenia, a które stanowić będą przedmiot dzisiejszej pogadanki higienicznej.

Zazwyczaj zabraniają pić, gdy człowiek jest bardzo spoconym. Zakaz ten w szkołach, wojskach i t. p., jest bardzo szeroko rozprzestrzeniony. W samej rzeczy wypicie zimnej wody podczas wielkiego zmęczenia i transpiracji, spowodowywały nieraz choroby lub nawet zejścia śmiertelne.

Gdy się pije w stanie wysokiego rozgrzania zimne napoje oto, co zachodzi w ekonomii organizmu.

Zimno, które dostało się do przewodu pokarmowego, spowodowuje napływ krwi z wnętrzości do skóry, ciepło przenosi się na powierzchnię ciała i pocenie wzmagają się.

Przyływ ten krwi uczuwa się doskonale na twarzy. Każdemu jest również znany fakt, że po jedzeniu lodów, wypiciu zimnej wody transpiracja się wzmagają. Jeżeli ilość tę zwiększyć, jeżeli wypić od razu kilka szklanek wody, wówczas pot staje się bardzo obfitym, a człowiek doznaje wewnętrznych dreszczy, już po kilku minutach.

Jeżeli ilość przyjętego płynu była umiarkowaną, wówczas krew szybko odpływa od skóry i następuje równowaga w krążeniu.

Zkąd grozi niebezpieczeństwo?

Temperatura człowieka w stanie normalnym wynosi 37,5°C. Wzmoczenie ciepła, jakie bywoby powstać w organizmie skutkiem upałów, równoważone jest przez utratę ciepła, jaki powstaje skutkiem pocenia się. Wiadomym jest fakt, że nalawszy na skórę ręki lub czoła cokolwiek wysokoku, wody kolońskiej, a zwłaszcza nieco eteru, uczuwamy po krótkim czasie w tem miejscu zimno: pochodzi to skutkiem tego, że każdy płyn ulatniając się (a wymienione posiadają tę własność w wysokim stopniu), pochłania z otaczających go przedmiotów pewną ilość ciepła; pot pod tym względem nie podlega wyjątkowi. Każdy gram jego, ulatniając się (parując), ochładza znacznie powierzchnię ciała. W zwykłych warunkach ulatnianiem się potu, a tem samem utratą ciepła kieruje systemat nerwowy. Zadaniem jego jest zmuszać organizm do ochładzania się stosownie do otaczającej go atmosfery i w ten sposób utrzymuje się, w stanie zdrowia, temperatura mniej więcej około 37,5°C., dzieje się tu coś podobnego, jak w maszynie parowej, w której palacz utrzymuje jednostajne ognisko.

Gdy jednakże skóra spocona wystawiona zostanie na działanie przeciągów, wówczas ulatnianie się potu nie jest regulowanem jedynie przez systemat nerwowy: powietrze przepływające unosi szybko pot, w znacznie większej ilości, aniżeli to jest niezbędnem, i wówczas powstaje stan anormalny, znany powszechnie pod nazwą *zazębienia*; jeżeli jest bardzo znacznem spowodować może zapalenie płuc, reumatyzm, tudzież inne choroby. Widzimy z tego, że pijąc w stanie spoconym, gdy pot ulatnia się z powierzchni skóry bardzo bystro i w znacznej ilości, jeżeli nie przedsięwziąć w podobnych ra-

1) Mila kubańska ma 5.000 varas, czyli 4.220 metrów.

zach pewnych ostrożności, można się łatwo zaziębić.

Zatem, nie woda, którą się wypilo, wywiera bezpośrednio szkodliwy wpływ, lecz wpływ zimnego powietrza na spoconą skórę. W podobnych razach niebezpieczeństwo zaziębienia się ustaje, jeżeli człowiek wykonywa pracę mięśniową i następuje nowa transpiracja, skutkiem wyrabiania ciepła w organizmie. Z tego powodu na balach tańczących można bez szkodliwego wpływu pić zimne napoje, podczas największego pocenia się, albowiem nie wystawiamy skóry na wpływ zimnego powietrza.

Obeznany z dzisiejszą fizyką wiadomo, że ciepłota i siła w organizmie są prawie synonimami, kto utracą ciepłotę, ten utracą siłę. Każda szklanka zimnej wody wypita zużywa nam pewną ilość ciepłoty, a zatem siłę, co powoduje osłabienie i zmniejsza wytrzymałość organizmu na trud.

Dowódcy wojsk poznają odrazu żołnierzy, którzy pili pomimo zakazu, nie mogą bowiem nadążyć towarzyszą, zwiększając liczbę maruderów i ostatecznie dostają się do lazaretu. Żołnierze wytrzymały cierpienie, lecz powściąga się od picia, w ten sposób zachowuje siły do samego końca męczącego pochodu.

Nie mamy dosyć słów do przypominania, że *zbytne gaszenie pragnienia osłabia siły.*

Organizm osłabiony łatwiej podlega chorobom i dlatego to skutkiem nadmiernego picia podczas lata mamy różnorodne epidemie.

Jest jeszcze jeden ważny szczegół. *Nadmierne picie nie gasi pragnienia.* Kto nie zauważył, że im więcej się pije, tembardziej pragnienie wzmagasz? Powód tego jest nader prosty. Pragnienie przedewszystkiem spowodowane jest utratą, jaką ponosi krew w częściach płynnych, a którą należy wynagrodzić. Tymczasem podczas wielkich upałów traci się więcej płynu skutkiem pocenia się, aniżeli można zyskać przez żołądek, pijąc: można w przeciagu godziny utracić dwa do trzech funtów potu. Żołądek w tym czasie nie jest w możności przyswoić taką ilość płynu, utrata jest większa, aniżeli dowóz: zatem każda szklanka wywołuje utratę siły, tembardziej, że skutkiem zimna i zwiększonego ciśnienia wewnętrznego powiększa się jeszcze ilość wydzielającego się potu, co znowu pociąga za sobą potrzebę picia — i tak w kółko.

To nam tłumaczy dlaczego po wypiciu kilku szklanek zimnego napoju, chęć do picia jeszcze wzrasta, krew bowiem nie wynagrodziła utraty części płynnych, lecz jeszcze zgęstniała.

Wymienione okoliczności wykazują: w jakich warunkach powinien znajdować się organizm, aby picie ugasiło pragnienie. Należy pić tak, aby nie pobudzać potów, a temsamem zyskiwać, a nie tracić.

Sposobów łatwo domyślić się. Potrzeba przeczekać, aż organizm ochłodzi się i przestanie pocić t. j. aż krew skończy utratę części płynnych; nie należy pić zbyt zimnej wody, a to dlatego, aby nowy przypływ krwi do skóry nie powodował w niej transpiracji wzmożonej; należy wraz z napojem przyjmować pewną ilość pokarmów stałych, dla zmniejszenia wpływu zimna na ścianki żołądka, co również ma wpływ na zmniejszenie wydzielania potu.

W krajach gorących, co i u nas zostało w zakładach publicznych zaprowadzonym, piją przez rurkę szklaną lub słomkę; w ten sposób płyn dostając się do wnętrza w małych ilościach, nie powoduje przypływu krwi do skóry i pragnienie lepiej i prędzej zostaje zaspokojone. Nigdy nie można dosyć zachęcać do picia małemi łykami, zamiast wypijania duszkiem; w ten sposób zapo-

biega się obarczaniu żołądka naraz zbyt wielką ilością zimnego płynu.

Skutkiem tego, że nie obserwują tych przepisów higienicznych, wiele osób chudnie podczas lata, niepodobna bowiem picie odzyskać tej ilości płynów, jaką uchodzi przez skórę.

Sprawdzić słowa te w praktyce bardzo łatwo, zapomocą ważenia się.

Z tego widzimy, że dla ugazienia pragnienia należy unikać zbyt zimnych napoi, pić małemi łykami i ile możności jak najmniej, bez spożywania pokarmów stałych; unikać przeciągów i spokoju, gdy ciało jest spocone po przyjęciu płynów.

Jeżeli pragnienie jest nieznośnem, można zmniejszyć cierpienie, zwiększając wydzielanie się śliny, co osiągnąć można trzymając w ustach kwaskowaty karmelek, lub, w braku takowego, kamyk.

Podczas wielkiego zmęczenia, jak długotrwałych spacerów lub tańca, należy wypocząć kwadrans, a dopiero potem zaspokoić pragnienie; w ten sposób zaspokojenie łatwiej dochodzi do skutku, nie nastąpi utrata siły i można w dalszym ciągu kontynuować rozpoczętą czynność.

Wydarza się, że pomimo wielkiego zmęczenia przychodzi z powodu braku czasu natychmiastowo zaspokoić pragnienie. Otóż, w podobnych razach pamiętać należy, aby pić małemi łykami, lub, jeżeli kto koniecznie pragnie pić duszkiem, czynić to po głębokiem wzięciu powietrza, a nigdy po wycięciu. Do płuc bowiem pozabawionych powietrza i przy zatrzymanym oddechu, czego wymaga przelknięcie duszkiem szklanki wody, napływa zbyt wielka ilość krwi, która może spowodować zapalenie tego ważnego organu.

Powtarzamy raz jeszcze, że powyższe przepisy, jakkolwiek napozór wydające się mało ważnemi, posiadają bardzo doniosłe znaczenie. Choroby dotyczą szczególnie organizmy osłabione, a pić bez miary osłabia w wysokim stopniu.

Consuetudo est altera natura!

J. S.

Z BIEŻĄCEJ CHWILI.

— **W Karpatach.** Taki tytuł nosić będzie nowa sztuka p. Kazimierza Zalewskiego, która zamierza wystawić ją jednocześnie w Warszawie, Krakowie i Lwowie.

— **Jeden z rzeźbiarzy warszawskich** p. Kurzawa wykonał grupę przedstawiającą Mickiewicza, budzącego dotknięciem ręki uspięny geniusz poezji, co jest prawdą historyczną w nowożytnej literaturze naszej. Dzieło to ma być w mniejszych rozmiarach wyrobione w terrakocie.

— **Dr Adam Ulanowski**, asystent przy katedrze zoologii na uniwersytecie lwowskim, przedsiębierze wyprawę naukową do Afryki Zachodniej. Celem są badania przyrodnicze, mianowicie zoologiczne, obok tego studia etnograficzne wzdłuż brzegów Afryki Zachodniej i na wyspach Fernando Po, Principi i Anabam. Dr. Ulanowski wyruszy z Hamburga; towarzyszyć mu będzie p. Alexander Brzeski z Warszawy i jeszcze kilka osób.

— **Krakowska Akademia Umiejętności** przedsiębierze wydawnictwo klasyków naszych pod tytułem: *Biblioteka pisarzy polskich.* Na czele redakcyi staje prof. St. Tarnowski.

— **Stanisław August w gronie najbliższego otoczenia**, obraz wielkich rozmiarów malarza Łuskińskiego, wystawiony został w salonie krakowskiej *Wystawy Sztuk Pięknych*, ale na przedmiot, który jest więcej rodzajowym, niż historycznym, płótno to jest za wielkie. Praca artysty większą jest, niż może być interes widzów.

— **Gazeta Olsztyńska**, wychodząca w ubogiej krainie mazurów warmińskich, założona tam została przed dwoma laty, przez Jana Liszewskiego. Wielka tam jest jej potrzeba dla biednego ludku, który, pozbawiony zupełnie inteligencyi własnej i wpływu jaki ona wywiera, szukać sobie musi w drukowanym słowie całego moralnego — duchowego oparcia. Prenumerata wynosi kwartalnie jedną markę pruską; przecież liczba prenumeratorków jest tak mała, że nie pokrywają się koszta pocziwego wydawnictwa, a fundusz zapasowy wyczerpuje się. Intelligentna publiczność powinna zainteresować się tem użytecznem pismem, które wychodzi w Olsztynie (Allenstein, Ostpreussen).

— **Pomnik na pamiątkę dwóchsetnej rocznicy oblężenia Wiednia** stanie tam w kościele S-go Szczepana. Wykonany ze styryjskiego marmuru, tylko postacie osób będzie miał z białego karrara. Znajdować się tam będzie i Jan Sobieski, ale nie na tem miejscu, które mu daje historia — nie jak odsiecz, która na ratunek przybywa. Miejsce pierwsze zajmie Starhemberg na koniu.

— **Jan III pod Wiedniem**, dramat napisany w Ameryce, przez ks. K. Kozłowskiego, był odegrany na scenie amatorskiego teatru w Chicago. W temże mieście buduje się nowy kościół polski pod wezwaniem S tej Jadwigi. W Milwaukee zaczęło wychodzić z końcem Czerwca nowe pismo polskie, pod redakcyą Fr. Jabłońskiego. Wychodzi tam już *Kuryer Polski*, pod redakcyą Michała Kruski.

— **Stowarzyszenie Polskie w Ameryce** zowiąca się: *Związek kawalerów polskich* liczy pięć filii, z których dwie: Stowarzyszenie *Wiarus* w Minneapolis i *Postęp* w Pine-Creek zostały świeżo zawiązane.

— **Ostatni akt** jednego z okrutnych dramatów Irlandyi rozgrywa się w dalekich stronach Afryki. Podróżnik po Afryce Południowej, Karol de Val, był w tych czasach na grobie Jakóba Carey, donosiciela, który w podróży swej do Kapu został zastrzelony przez O'Donnell'a. Ciało zabitego leży na smutnym, nieogrodzonym cmentarzu w Port Elizabeth. Grzebią na nim tylko albo krajowców albo przestępców, umierających w więzieniach, lub aresztach. Na grobie leży biały, okrągły kamień, na którym śmiałym męzkim charakterem napisał ktoś ołówkiem: „Tu leży Jakób Carey denuncyant“ Skoro tylko deszcz lub czas napis ten zerze, nieznajoma ręka ponownie go kreśli i są tu jakgdyby dwa tajemnicze wpływy, walczące obok tej mogiły. Z prętów żelaznych wzniesiono na niej krzyż nieforemny, który bardzo przedkłada ktoś wywraca, a ktoś inny znów niewidzialnie stawia.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 16-ty powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander.

TREŚĆ: Pogawędka. — Pieśń podróżnego, poezya, przez M. I. — Życie i praca, (dalszy ciąg), przez Samuela Smilesa. — Na Krasnym Dworze, (dalszy ciąg), powieść historyczna, przez Fr. Rawitę. — Notatki pedagogiczne. — W Antyllach, podróże, przez M. K. — Wiadomości z medycyny i higieny popularnej, przez Dra J. S. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmujący: Arkusz 16-ty powieści pod tytułem: **Wybór Aliny**, przez Mrs. Alexander. — 48 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycyę stołu.